



Władysław Syrokomla
(1823 — 1862)

Wędrowki po moich niegdyś okolicach

Szczególną w swoim rodzaju przynoszę ci książkę czytelniku! podróż na przestrzeni pięciu czy sześciu mil, po okolicy niezasługującej na żadną wyłączną uwagę, okolicy, która się w przeszłości niewiele upamiętniła, a obecnie pozostała bez żadnego znaczenia. A jednak, nieważę sobie lekce obecnej mojej pracy, i dla dwóch głównych pobudek biorąc ją przed się, chcę się z nich przed czytelnikiem wytlómaczyć. Naprzód, prosić winienem o przebaczenie, że się na tych kartach, daje miejsce osobistym wspomnieniom, o ile dla nas rzecznym, o tyle dla ogółu obojętnym. Jeśli liczymy na współczucie, to jeno niewielu serc tkliwych, które będąc w położeniu podobnym naszemu, zrozumieć nas potrafią i zechcą.

Okolice, które tu nazwałem *mojemi*, grały przeważną rolę w życiu naszym. Małe dziecię do nich przybyłem, i w ich kilkumilowym promieniu przeszedłem przez wszystkie koleje dzieciństwa, wieku młodocianego i dojrzałości, przez wszystkie uczucia od pacholecej radości goniąc za motylem, aż do boleści, kiedy jak ojciec płakał nad mogiłami dziatwy. To skromne miasteczko było pierwszym miastem, które widziałem w życiu, w tym cichym kościele, słyszałem pierwszy raz głos organów, przyjąłem pierwszą Komunię Ś., tam oto na szkolnej ławie zakosztowałem pierwszych owoców wiedzy, tam pod cieniem wiejskiego olszniaku, przy zdroju począłem odbierać wrażenia młodzieńcze od świętej poezji, i marzyć o nieznanym mi dotąd uczuciu miłości; w tym starożytnym zamku, młodzieniec wszedłem w koło życia towarzyskiego, w tej świątyni wykonałem śluby małżonka, a potem w tej oto Nadniemnowej okolicy z Bogiem i książką rozpocząłem mój zawód piśmienniczy, zawiązałem chlubne i drogie dla serca stosunki z dalekim światem, a przysłoniony ciszą, rozkołysany wrażeniami natury i życia rodzinnego, snułem swobodnie wątek moich myśli. Cóż za dziw, że te okolice zostały dla mnie świętymi, że oko zbratało się, że serce przyrosło do każdej wieży kościelnej, do każdego wzgórzka na polu, krzyża na drodze, do każdego drzewka i krzewu, do każdej niemal chmurki na niebie!

Kto tak pokochał swoją okolicę, ten zda się, już w niej posiadał wszystkie warunki szczęścia.

O gdzie tam! szczęścia, jeśli go w sobie nieznajdujemy, próżno szukać w zewnętrznym świecie. Parę bolesnych ciosów, parę odczarowań od ludzi, — a strona niegdyś tak droga sercu, stała się dla nas nieznośną; koniecznie należało ją rzucić, zapomniawszy lubyh wspomnień, a niosąc z sobą tylko gorzkie wrażenia, odebrane na ostatku. Tamte były snem i złudzeniem, te dopiero istną rzeczywistością.

A jednak obecnie, w gwarze miasta, mimochętnie nieraz musimy się poddać natarcywym wspomnieniom tamtych stron, tamecznych ludzi, tamecznej przyrody. Wśród warunków innego życia, jeśli je odpędzisz we dnie, wrócą aby zakłócić spójność snu twojego w nocy; napróżno usiłujesz zagładzić na twarzy piętno minionych uczuć — żal mimowoli ściśnie serce odrętwiałe; z zardzewiałego oka, po marmurowej twarzy — poleje się łza rzewna; — westchniesz po twej przeszłości.

Jako ostatnie pożegnanie stronom i ludziom, gdzie się tyle lat pięknej młodości przeżyło, jako ostatnie *Bug zapłać* za chleb, za sol, za łzy, za radość, za wesołość, za nudy tam doznane — kreślimy z notat i wspomnień, obecny pamiętnik o *moich okolicach*, — jak stary pielgrzym, co niemając czem innym wypłacić się gospodarzowi, za jałmużnę lub gościnną strzechę noclegu, rozpowiada po świecie o swym dobroczyńcy i podaje imię jego, do wiadomości dobrych ludzi. Dziad filut! wie, że tym sposobem obudzi w słuchaczach próżnostkę, i do hojniejszej jałmużny zachęci; — ale co do nas, nie zebrząc o jałmużnę współczucia, bez żadnej tajemnej rachuby, wypłacamy nasz dług okolicy w którejśmy mieszkali.

Lecz pomnąc, że nasze osobiste wspomnienia niewiele kogo obchodzić będą, niechcąc zresztą jawnością odzierać je z uroku, w obecnej wędrowce starać się będziemy o powagę i suchość. Uczynimy studja historyczne, uwagi obyczajowe, ludowe, słowem wszelkiego rodzaju, jakie się nam pod pióro nawiną, a iż obraliliśmy zakres nader szczupły do wędrowki, chcemy dać poczuć, że *każdy zakątek kraju, choćby na pierwszy rzut oka nieprzedstawiał nic nadzwyczajnego, może być przedmiotem studjów; a studja tego rodzaju mogą niebyć bez pożytku u nas, którzy swej ziemi tak dobrze jak nieznany; że każdy obejrząwszy się pilno po swej okolicy rodzinnej, mógłby w podobny sposób, przynieść jaki przyczynek do skarbnicy dziejów.*

To był drugi i ważny cel naszej pracy.

Na próbę dajemy jej pierwszą część na widok publiczny. Parę dworków, parę miasteczek, parę okolic — oto cały zakres obecnej naszej wędrowki — łaskawe jej przyjęcie, będzie dla nas hasłem do dalszego podróżowania po *moich niegdyś okolicach*.

d. 10 Marca 1853 r.
Wilno.

Dokąd dalej się udać? — Trakt do Nieświeża. — Drogi i karczmy u nas. — Marzenie i rzeczywistość. — Przykład porządnej gospodarki. — Dwory, wsi, lasy — wjazd do Nieświeża.

Z chętką do wędrówki, z pugilaresem do zapisywania jej wrażeń, stajemy na rynku w Mirze, w położeniu dziada żebraka na rozstajnej drodze; cel niewytknięty, świat szeroki; do której wioski czy miasta udać się na włóczęgę? Pytanie trudne zaiste w każdym podobnym położeniu życia, — tu nęci nadzieja przyjemności w jednym miejscu, tu odradza obawa, aby czegoś nie stracić w innej stronie. Udalibyśmy się prosto, ulicą tak zwaną Żuchowicką, tu miałbym wam do pokazania pewien wzgórek, na którym stoczono pod Mirem pewną bitwę na schyłku przeszłego wieku; dalej zwiedzilibyśmy piękną Połoneczkę, posiadłość Konstantego Xiążęcia Radziwiłła, gdziebyśmy widzieli piękny ogród, piękny i pod wielu względami ciekawy pałac, gdzie jesteśmy pewni prawdziwie Radziwiłłowskiej popularności i uprzejmości, dostojnego Gospodarza. Dalej obejrzelibyśmy w miasteczku Iszkołdzi stary, bardzo stary, bo niewątpliwie z pogańskiej świątyni przerobiony kościół parafialny katolicki, który w XVI wieku był zbrojem Aryańskim — słowem mielibyśmy ciekawą i przyjemną wędrówkę. Ale znowu, jak tu dla kilku pomników w tej stronie, zaniechać zwiedzić Nowogródek, stolicę Mendoga, miejsce urodzenia jednego z najpierwszych naszych wieszczów? Jak niezawadzić o starożytny Lubcz, gdzie była przed wieki, przed bardzo dawnymi wieki, katedra, gdzie wśród pogańskiej Litwy za Mendoga, piastował biskupią dostojność Wit Dominikan, o którym tak niewiele wiemy, Lubcz gdzie często przebywali Radziwiłłowie linii Birżańskiej, gdzie drukarnie Piotra Błasta Kmity i Jana Lange w XVI i XVII wieku, wydały tyle dzieł ważnych dla historii reformacji w Litwie, a dziś tak rzadkich — gdzie jeszcze są zwaliska Radziwiłłowskiego zamku, Lubcz nakoniec, który za dni naszych starą swoje chwałę, podtrzymuje fabrykacją brudnego wprowadzie co do barwy, ale wybornego zkąd inąd laku, laku prawdziwie Lubczańskiego, jak dowodzą kramarze, co po dworach roznoszą? Tyle powodów do udania się w kierunku Nowogródka, jużby nas zdecydowało, gdyby nie Nieśwież tylko o cztery mile leżący, Nieśwież nie mniej od Lubcza sławny niegdyś w dziejach reformacji i typografii Litewskiej, a stolica głośnego Xięcia Karola Radziwiłła, gdzie jeszcze jest jego zamek, jego archiwum, mnóstwo o nim tradycyi, a nawet jego zwłoki, — Nieśwież do którego prowadzi wyborna droga, gdzie jeszcze przed wieczorem być można.

Kość więc rzucona — jedziemy do Nieświeża — bitą, prostą drogą, która jak dowodzą matematycy (i niech sami za tę prawdę czy aforyzm biorą odpowiedzialność), ma być drogą najkrótszą.

Jeszcze więc raz udajemy się pod zamek, pod którym rozchodzą się dwa trakty — jeden na lewo około starożytnego sadu prowadzi do miasteczka Świerznia, drugi na prawo do Nieświeża. Bierzemy się na prawo, przebywamy mostek, a rzuciwszy ochotnie spojrenie na zamek Mirski i zawoławszy: *ruszaj woźnico!* poczynamy

staroświeckim obyczajem naszą podróż od zwykłego psalmu podróżnych: „*Kto się w opiekę poda Panu swemu!*”

Ziemia zagina się w lekkie piaszczyste wzgórki: — na trakcie brzozy, a po za drogą sosnowe gaiki i zarosłe krzewią się dosyć bujno, dowód niezgorszego gatunku ziemi. Zboże mierne, widoki nierozległe i nic niemające nadzwyczajnego, droga nieco piaszczysta, lecz w ogólności wyborna. To wszystko nie stanowi żadnej nadzwyczajności.

Możnaby dla efektu, obyczajem pątników, zaimprovizować jaki wypadek na drodze przytrafiony, albo w uroczych barwach przedstawiać miejscowość, — czytelnik możeby uwierzył na słowo — ale jeśli się kłamstwo wyda, toć tylko wstyd i stracenie wiary na przyszłość. Prawda, mówią, ma własność oliwy w wodzie — zawsze na wierzch wypłynie. [...] Co do drzew owocowych, dróg prostych i stawów, dosyć jest spojrzeć na miejscowość, aby o tem wątpić. Drogi tutejsze, jak wszystkie drogi ludzkie, nie odznaczają się wielce prostym kierunkiem, wiją się dość fantastycznie, wymijając to wzgórek, to błoto, to piasek, to poprostu pole pełne kamieni; — bo jużci wygodniej objechać kamień, niż go uprzątnąć z drogi — to już jest praca dla ogółu, którą któż wynagrodzi? Stawów kopanych ani śladu — mogły zapłynąć; drzew owocowych nietylko na drogach, lecz i po wioskach bardzo niewiele; — lubo drzewo ma własność odradzać się w następnych pokoleniach; nie spotykamy ani przypadkiem jakiej praprawnuczki starej jabłoni lub gruszy, posadzonej staraniem Radziwiłła. [...]

Ale zagadawszy się o drogach, nie zbaczajmy w manowce ustępów, tembardziej, że jedziemy po gościńcu równym i gładkim, bo go takim uczyniła — jużci nie praca ludzka, ale naturalnie przyroda; tak sobie, trafem — przez kaprys rzuciła pomiędzy Mirem a Nieświeżem grunt mało górzysty i suchy — a ludzie także trafem wytknęli tu drogę, osadzili ją brzozą i osiną, które się cienisto rozrosły — a tak traf wyszedł na dobre.

O milę wioska Siemakowo uciekła z gościńca na pole jak wąż olbrzymi. Głowa jej, to jest karczma — świeci ku podróżnemu pobitemi szyby, jak dwójgiem żądnych oczu, i otwiera jak paszczę wrota swej stodoły — a reszta ciała i ogon, wiją się opodal po wzgórkach aż do lasu. Wieś ta, na oko niczem nieodznaczająca się od innych naszych wiosek posiada rzecz niesłychaną po innych wioskach — kilku wybornych stolarzów, których wyroby mogłyby ozdabiać najwykwintniejszy salon. [...]

Dalej piękny las jodłowy po obu stronach drogi — a w lesie aż trzy karczmy świecą malowniczo pokwitłemi strzechami ze słomy i nawpół rozwalonemi ściany — Piękny to przedmiot do pejzażu w rodzaju swojskim — ale dla czegoż ubieramy nasze najpiękniejsze krajobrazy w ten jedyny sposób? czyżby nie równie pięknie na tle ciemno zielonem lasu odbijała wieżycy kościelna, fronton szkółki wiejskiej, domek gajowego, albo prawdziwa gospoda ze wszelkimi wygodami dla podróżnych, z kuchnią dymiącą się, z oknami buchającemi gościnnem światłem, z fizyonomiją uprzejmie zapraszającą podróżnego na spoczynek, którego potrzebuje? A jakby wyborne można ubrać krajobraz w rodzaju tych, które tu projektujemy; przy kościółku stałby siwy xiądz pleban z xiążką do modlitwy, oparty na jakimś grobowcu, przed

grobowcem klęczy spłakana niewiasta czy dziecię — kapłan pociesza je, ukazuje na niebo, a w twarzy bolejącego widać niebieską pociechę. Albo szkolne podwórko, z dzwonkiem, ze swawolnymi wiejskimi chłopcy, z tucznym bakałarzem, na którego łysem czole znać niepospolita naukę, dobre o sobie mniemanie i dobroć serca, a choćby zawiesić mu u pasa klasyczny boćkowiec — ta akcesoryja jako jedyna charakterystyka urzędu, nie zdołałaby źle uprzedzić widza, o pocziwym wiejskim mentorze. O podobne obrazki, prosilibyśmy naszych malarzy pejzaży — ale cóż począć, kiedy im brak oryginału do studjów z natury. Gdzie u nas znaleźć architekturę szkoły wiejskiej albo porządnej gospody, gdzie szukać typu wiejskiego bakałarza, albo typu xiędza wiejskiego z xiążką, niosącego słowa pociechy cierpiącym? gdzie znaleźć choćby dobry charakterystyczny exemplarz oberżysty? Wszystko to xiążkowe ideały, niebywałe i niepodobne w naturze. Gospoda i Izraelita, wiejski chłopiec pasący bydło, xiądz proboszcz i preferansowy stolik — to jakoś rzeczy bardziej do siebie przystające; karczma rozwalona, przy której uwija się tłum wieśniaków krzyczących i podchmielonych, i dzwoniąc zębami liche ich *szkapy słuchają retoryki* — to są przedmioty także dosyć miejscowe i charakterystyczne: rzecz dziwna, że nie natchną ani pędzla malarza, ani pióra jakiego Litewskiego Walter Skotta. Bo też sztuki piękne u nas jeszcze na niskim, na bardzo niskim stopniu.

Wyjechawszy z lasu, widok otwiera się na piękne rozłogi pól coraz żyźniejszych. Na prawo, mało co węższa od pocztowego gościńca brzozowa aleja, prowadzi do muranego dworu, który z zielonego wianka ogrodu majestatycznie wychyla głowę — obok dworu, wieś pobudowana regularnie, każda chała osadzona topolami, brak wody do młynów zastąpiony rzędem wiatraków — pola dobrze uprawne świecą się kobiercem z kwiatu koniczyny — przy drodze porządna oberża — słowem wszystko daje uczuć rękę zamożną i umiejętną, co tej krainie nadaje fizyonomiję więcej postępową. Jest to Horodziej, posiadłość Półkownika Brochockiego, prawdziwa w tej stronie oaza; szkoda tylko, że ten dwór i ta porządna wioska uciekły od drogi, niedając się sobie lepiej przypatrzeć, — możeby się z niej jadący wiele rzeczy mogli nauczyć — Zajrzelibyśmy w oczy ludowi wiejskiemu, i z jednego spojrzenia kmiotka, odgadlibyśmy wiele rzeczy: np. ile te dobra przynoszą propinacyjnego dochodu? czy tutajby niemożna znaleźć typu wiejskiego preceptora do krajowego obrazu? i t. p. Zdaleka tylko rzuciwszy okiem na tę piękną posiadłość, zasyłamy do Niebios westchnienie, aby na obliczu tutejszej strony więcej się podobnych okolic znalazło.

I dla czegożby nie wróżyć? Ziemia wciąż urodzajna daje rękojmię dobrego bytu, lud krzepki, z oczu mu patrzy pocziwie, ma, jak się mówi, za co założyć ręce obywatel, któryby dobrze czuł, co winien ludzkości, duchowi wieku i dobrze zrozumianemu własnemu interessowi.

Parę innych wiosek także noszących nazwę Horodziej (może to wariant nazwy Horodyszczce, które jak dowodził zacnej pamięci Zoryan Chodakowski, na każdej mili kwadratowej znajdować się musi), potem wieś Użanka niegdyś własność Jezuitów

Nieświeżskich — przesuwały się przed nami. — Wsi jak wszędzie, niskie, źle zbudowane, dwory bieleją, ówdzie murowaną stajnią, ówdzie takąż gorzelnią, ówdzie, jak w Użance, ładnym, zdaleka widzianym kościółkiem — a każdy okoliczny dworek przysłał na drogę pocztową swoją karczmę, bo też każdemu z nich należy częśćka kontrybucyi z trojaków kmiotka powracającego z targu, — tak być powinno.

Za Użanką ciągnie się wiorst kilka las dębów, osiny, brzozy, klonów — piękny las liściowy gdzieniegdzie przeplatany sośniną. W lesie jamy i piece do wypalania wapna, które lud okoliczny wydobywa tu z łona ziemi i wypala. Cień rozkoszny, wiatr chłodnawy i aromat lasów, miło orzeźwiają pierś wędrowca — tutajby marzyć, słuchać pieśni ptasząt, zbierać wonne storczyki, słodkie poziomki i kochać się — a jednak ten las, lubo nieopodal wioski i miasta, kilka razy, według podań, był kryjówką dla zbójców, był teatrem mordów popełnionych nad niewinnym bliźnim. I zbójca miał serce, wobec tej pięknej natury dobyć nóż morderczy! — on tę piękną ustron uważał jedynie za dobrą kryjówkę; gęstwina drzew zapewniała bezkarność zbrodni.

Minąwszy las, spotykamy na prawo murowany dworzec Rudawkę, posiadłość przed laty także Jezuicką, przy drodze, naturalną koleją karczma, a na wzgórku słup murowany. Słup ten, po pierwszym rozbiorze Polski, był podobno klinem tu zbiegającej się granicy Rosyi, Prus i Austrii — potem stanowił granicę gubernii Grodzieńskiej od Mińskiej — teraz ma niby rozgraniczać powiaty Słucki i Nowogródzki, ale niemasz na nim żadnego napisu — stoi na górze tak sobie. ... bez celu.

Ze wzgórka już nam widnieje Nieśwież z okolicami. Samo miasto, gdzieniegdzie tylko wystrzelając w górę wieżycami Parnego i Dominikańskiego kościołów, kryje się w dolinie. Nad nim króluje, daleko z przeciwnej strony miasta, na górze posadzony, pusty dziś kościół po-Jezuicki Sgo Michała, na prawo sinieje las i zwierzyniec Alba, na lewo w całym majestacie wdzięczy się stary zamek i gdzieniegdzie dostrzegamy ślad starych wałów miejskich. Serce uderza silniej, bo wjeżdżamy do miejsca uroczystego staremi wspomnieniami — oto drewniane przedmieście nazwane Kazimierz, oto otacza nas wianek karczem, przebywamy pod kościołem Bernardynów most na jakiejś kałuży czy odnodze rzeki Uszy — i otośmy we właściwym mieście.

Droga do Świerznia — Pola — Żwierzątko zwane Suseł — Miasteczko Hoviczna — Charakterystyka ziemi i ludu — Świerzeń — Przejścia jego dziedzictwa — Kościół — Słówek o spltawie i handlu zbożowym Niemnem do Królewca

Fantastycznym gzygakiem, z Nieświeża skierujmy się znowu na północ, znowu nad Niemen. Jedziemy w kierunku Mińska, a pierwszym naszym wytchnieniem będzie miasteczko Świerzeń, położone nad brzegiem Niemna.

Nie rozwinę przed oczami waszemi panoramy świetnych widoków, — ta strona Litwy, nie obfituje w widoki uderzającej piękności. Nie nuży jednak oka wędrowca, ta powolna przemiana równin, wzgórków i lasów, bo każdy z tych drobnych obrazków ma swój wdzięk skromny, potulny — który niewiem czy można trafniej porównać, jak do wdzięków Litewskiej dziewicy. Nie masz tu ani zbyt regularnych zarysów, ani owej efektem piękna uderzającej gry twarzy — jest tylko na obliczu otwartość i miła prostota, jest słodki uśmiech zlekka na niem rozlany — jakaś cicha figlarność, jakaś rzewność, coś takiego, co żądz nie rozpali, serca nie rozjątrzy — jeno rozlewa balsam leczebny dla ducha; — nim da pokochać, zmusi naprzód polubić, — umie trafić do naszego współczucia wprzód, nim zdamy sobie sprawę z naszych wrażeń. Taka jest Litwa i takie są jej córy.

Ale nie wdając się w drażliwe i niebezpieczne porównania, pamiętajmy że wóz do podróży już gotów, i że kawał drogi mamy przed sobą.

Tem samem, którem przybyliśmy, przedmieściem Kazimierz, wyjeżdżamy z Nieświeża — na lewo t. j. na zachód idzie droga do Mira — naprawo, w kierunku prawie zupełnie północnym, wybiega trakt pocztowy do Świerznia — tam się udajemy. Mijamy ślady dawnych wałów miasta, a zaledwieśmy ujechali kilka kroków — gdy się wstecz obejrzymy, już znikły wieżyce kościelne, — miasto zbudowane na równinie zasłania się ostatnimi swojemi budowy, tylko daleko za miastem na górze posadzona ruina Święto-Michalskiego kościoła, króluje z oddali nad starym Radziwiłłowskim grodem.

Przed nami droga wysadzona bujnie rozrastającemi brzozy, ciągnie się o wiorst kilka prostem pasmem, równiną; po obu stronach drogi roślinność bogata, zarośle gęsto odziane szerokiem liściem — zboże wyborne, bo Nieśwież z okolicami należy jeszcze do Słuczyzny słynnej ze swoich urodzajów, na gruncie równym, bogatym w czarnoziem i glinę.

Plony jednak tutejsze bywają ofiarą szczególnego rodzaju nieprzyjaciela — jest to małe, popielate, z białemi cętkami, zwierzątko nazwane Suseł (*Arctomis citellus*), z rodzaju i wielkości szczura, mnożące się na polach tutejszych w niesłychanej liczbie. [...]

O sześć wiorst widok się zmienia: otwarte dotąd pola ustępują miejsca lasom, o wiorst kilka na lewo rozgałęzionym, wśród których na trakcie rzucono niedbale, dla wdzięku i wygody podróżnych, dwie czy trzy karczmy. Przedmioty, o które w tych drewnianych, ciemnych i błotnistych hospicyach podróżny dopytać się może, dają się do liczby trzech ograniczać; a temi są: gorzałka, gorzałka i gorzałka. Owies i siano dla koni, należą tu do rzeczy zbyt kownych — a jadło dla podróżnych i osobna izdebka na nocleg, do niesłychanych wymagań.

O czternaście wiorst, zawsze wśród równiny i urodzajnych gruntów — leży miasteczko Howiezna, z piękną murowaną cerkwią, z obszerną drewnianą karczmą — ze dworem nieopodal leżącym, i z kilku podwładnemi wsiami. [...]

Za Howiezną jeszcze kilka wiorst równej polistej fizyonomii krainy — jeszcze grunt urodzajniejszy — ale o wiorst 20 od Nieświeża natura miejscowości znacznie się przemienia: równina poczyna się garbić we wzgórki, piasek poczyna przemagać w składzie gruntu nad gliną i czarnoziemem — po lewej stronie widnieje kilka dworców w uroczem położeniu, dworców, do których wiele rzewnych osóbście przywiązujemy wspomnień, ale które obojętnego czytelnika cóż obchodzić mogą? — Ale już poczyna się fizyonomia kraju właściwa Nadniemeńskim okolicom; 5 wiorst od Świerznia tak są nieznośne dla podróżnego, że zwykle porzuca gościniec pocztowy okazale przystrojony rzędem brzoź pięknych i rozrosłych, a jedzie lewą stroną, gdzie lubo piaski nie mniejsze, nie tyle jest przykrych pagórków.

Cała ta strona, wyjąwszy Howieznę, pomimo urodzajności gruntu, nadzwyczaj późno została osiedloną. Przed wiekiem XVI były tu ledwie drobne posiadłości szlachty, które nabywał i zbijał w jedną masę dóbr Mikołaj Krzysztof Radziwiłł. I wszystkie niemal tutejsze dwory i wioski nie są wcześniejsze nad ową epokę, a nazwy ich pochodzą od nazwisk właścicieli, w których rękach zostawały, nim je nabył Radziwiłł. [...]

Na kilku wioskach po tej drodze, na fizyonomii spotykanych drogą wieśniaków, badamy różnicę warunków bytu ludu, na odległości nie więcej jak trzy milowej. Wieśniak pod Nieświeżem jako i w całej Słuczyźnie, zamożny, wyłącznie oddany uprawie swej wdzięcznej skiby, domator nie znający dalej świata jak swą cerkiew i targowe miasteczko, w stroju zachował coś odwiecznego; nosi długie starannie uczesane włosy, wielką baranią czapkę, świętę krojem odwiecznym, szeroką rzemienną popręgę; wieśniaczka trzyma się kaptura i gorseta swych prababek, — jest to szanowna klasa rolnicza, taka, jak ją wyobrażamy w naszych ideałach. Tutaj zaś w okolicach Niemna, mieszkaniec mniej urodzajnej niwy, zmuszony zimą zarobkować w miasteczku siekierą, a latem flisować na płytach lub wicinach — więcej jest kosmopolitą, z mniejszem poszanowaniem zachowuje szacownie domowe podania, uboższy jest, przebieglejszy i mniej skrupulatny w szanowaniu prawa własności. Zamiast staroświeckiej siermięgi, baraniej wysokiej czapki i chodaków lipowych z szerokimi rzemieniami, które z takim wdziękiem opasują nogę wieśniaka ze Słuczyzny — tu napotkasz w stroju płci obojej jakąś emancypowaną kapotę, u kobiet coś w rodzaju czepeczka pań-mieszczek, u mężczyzn jakąś z niemiecka czapkę lub kapelus i boty od święta, lubo w ogólności wieśniacy tutejsi nie tyle lubią oprzątność i czystość odzieży, co ich bracia stron więcej rolniczych. Częstsze przebywanie z żydami, przyuczyło ich bardziej do próżnowania i kielicha, a zetknięcie się z klasą handlarzy zwolniło kilku restrykcjami, poczciwe w gruncie ich sumienie. W jego piosnkach, skazkach i pogadankach dopatrzysz jakiś element napływowy zkađinad; ale zkađ mianowicie? i jaką drogą on się tu wkłada? trudno wytłumaczyć tu, gdzie miłość domowej zagrody nie strzeże skrupulatnie tradycyjnej swojszczyzny. Zresztą jedni i drudzy wieśniacy stron tutejszych mówią narzeczem Białoruskiem, wyznają wiarę Greko-rosyjską lub Katolicką, wiadomości ich

w rzeczach Wiary ograniczają się do umiejętności pacierza, poczciwość wrodzona Słowianom strzeże sumienia, a prosty zdrowy rozum starczy za naukę.

Ale oto z piaszczystego wzgórzka rozwija się przed nami piękna Nadniemeńska panorama! W środku obrazu staje przed nami jakieś obszerne kilku murami błyszczące miasto — to są dwa pobliskie, Niemnem od siebie przedzielone miasteczka, Świerzeń i Stołpce, które się w perspektywie zlewając w jedno, wysuwają na pokaz wieże swych kościołów i cerkwi — na lewo wianek olszyn po nad rzeczką i malownicze wzgórzki, z lasem siniejącym w oddali — na prawo po zielonej przestronnej błoni, srebrzą się wody Niemna i przyległych zatok; na jednej z tych zatok, rzucony na całą wiorstę most na wysokich palach, wygląda jakby jaki olbrzymi, stonozny owad, pełzający po błoni.

Wjeżdżamy do miasteczka Świerznia — mało to i liche miasto! — Oto na szerokiej błotnistej ulicy zasiadło kilka nędznych chrześcijańskich i żydowskich domów, kilka karczem — dalej stacya pocztowa — dalej młyn, plebania i mały staroświecki z czerwonych cegieł kościółek — oto rynek ze swojemi drewnianemi ubogimi kramy, murowana cerkiew i parę ulic, które pobiegły w dół grząznąć w błocie, którem Świerzeń rywalizuje z sąsiednimi miasteczkami Stołpcami i Mirem. Jak widzimy niema tu wielkich i godnych widzenia ciekawości. — Nim się konie popasą powiedzmy coś o przeszłości tej miejsciny i zwiedzmy ubogi kościółek. [...]

Oprócz kościoła, wspanialsza nieco Ruska cerkiew, niegdyś należąca do OO. Bazylianów, którzy tutaj mieli swój nowicyat [...].

Świerzeń jest pierwszym punktem, od którego żeglowny już Niemen poczyna nieść na swych krętych falach, Litewskie wiciny brzemienne surowemi naszej ziemi płodami — jest tu przystań, jest kilka spichrzów — ale cały handel w rękę żydów złożony, któż nie zgadnie na jak niskim jeszcze jest stopniu? Brak kapitałów u handlarzy, brak ducha przedsiębiorstwa u obywateli, brak dobrych rzemieślników, którzyby uprościli staroświecką budowę samychże statków, lub zastosowali do nich siłę pary — brak nakoniec poczucia potrzeby sprostowania krętego koryta Niemna i zrobienia spławnej karty mielizn, czepów, kamieni i skał ukrytych pod wodą — to wszystko trzyma jeszcze handel tutejszy w tym stanie, w jakim był za naszych dalekich przodków.

[W. Syrokomla, *Wędrówki po moich niegdyś okolicach. Wspomnienia, studia historyczne i obyczajowe*, Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1853, s. 7-10, 66-75, 185-190; interpunkcja, pisownia i wyróżnienia oryginalne]